



Praffdata dla każdego była czymś innym. Dlatego właśnie mogliśmy koegzystować – bo dopóki któremuś z nas nie przeszkadzało coś naprawdę mocno, dopóty mogliśmy iść dalej w naszych działaniach. Jeśli któryś z nich chciał nadać naszemu działaniu konkretny sens, nie oponowaliśmy.

czuliśmy się w tym świecie jak wariaci

rozmowa z **Maciejem Wilskim**

tekst: Zuzanna Wilska

Czym właściwie była Praffdata?

Na wstępie i przede wszystkim chcę powiedzieć, że wszystko, co padnie w tym wywiadzie jest moim subiektywnym odbiorem tamtych wydarzeń. Podkreślam to, ponieważ podejrzewam, że Praffdata dla każdego jest czymś innym. Wracając do pytania: moim zdaniem Praffdata to Jarek Guła. On był przewodnikiem, twórcą tego przedsięwzięcia, głównym organizatorem, człowiekiem albo kosmitą – to zależy, z której strony patrzysz.

Ile osób było w grupie?

Jeśli chodzi o podstawowy skład, to byli to właśnie Jarek Guła, Sylwian, cholera wie jak on ma na imię, Dudi, czyli Jarosław Burchard, to akurat pamiętam, i Jakubek – Andrzej Jakubek. To był trzon Praffdaty. Natomiast przez to, że Praffdata była formą otwartą, różni ludzie się przez nią przetoczyli.

Ty dołączyłeś po pewnym czasie. Jak pierwszy raz spotkałeś się z Praffdatą?

To było zaraz po tym jak skończyłem warszawską ASP, dyplom miałem w 1984 roku w pracowni profesora Gierowskiego. Wtedy miałem ideę, żeby malować wspólnie z ludźmi, z przyjaciółmi. Zaprosić ich do happeningu polegającego na tym, że do muzyki maluje się obraz. Wtedy moja starsza siostra – Margola – przez swoje wyjątkowo towarzyskie usposobienie, prowadziła, można powiedzieć, dom otwarty w swoim mieszkaniu na Bernardyńskiej. Cały czas przewalała się przez to miejsce masa ciekawych ludzi. To właśnie tam poznałem Faustyna Chelmeckiego, którego malarstwem bardzo się zafascynowałem, i którego zaprosiłem do zrealizowania mojego pomysłu. Margola zasugerowała mi, że jako muzyków powinienem zaprosić chłopaków z Praffdaty – uważała, że mają wystarczająco otwarte głowy i na pewno się zgodzą. Tak właśnie się stało. Praffdata działała już wtedy w ramach SOS-u, czyli Szkolnego Ośrodka Socjoterapii w Warszawie. Wszyscy członkowie grupy uczęszczali do tego liceum, więc, jak można się domyślić, był to zbiór ludzi nieprzystosowanych do życia w społeczeństwie, nie mieszczących się w żadnych formach, nie nadających się do zwykłych szkół.

Jak staliście się zespołem?

Z jednej strony zostałem do Praffdaty w pewnym sensie dokooptowany, z drugiej – to ja zaprosiłem Praffdatę do mojego pierwszego działania publicznego w Stodole, w 1986 roku. Szybko ześmy się zaprzyjaźnili – właściwie już podczas przygotowań do koncertu. Im się spodobało to, co my robimy z Faustynem Chelmeckim, a nam się spodobało to, co robią oni.

Opowiesz o tym wieczorze?

Bardzo możliwe, że ten happening miał jakiś temat, ale ja go teraz nie pamiętam. Specjalnej treści nie zawierał, co dla nas było dość częste. Jeśli w ogóle się pojawiała, to miała się w tajemniczy sposób sama wyjawiać, albo wręcz objawiać. Czasem miało to wszystko jakąś ideę przewodnią albo temat, który miał być podstawą, ale to się nigdy nie trzymało kupy i w trakcie realizacji nabierało zupełnie innego wymiaru, zaczynało dążyć

w zupełnie inną stronę – a myśmy z tym nie walczyli. Na przykład nikt nie był w stanie przewidzieć, czy

Łączyła nas miłość do wolności – albo któryś z nią tęsknił, albo czuł, że to jest jedyny sensowny sposób działania. Jak wszystko dookoła jest bez sensu, to co można robić? Coś równie bezsensownego, ale przy czym można się bawić.

Na poprzedniej stronie:
Koncert w SOS-ie, Warszawa, 1986

Po prawej: Ariergarda, pokój Praffdaty,
festiwal sztuki niezależnej, 1987



dekoracja wytrzyma próbę bojową lub czy żywi-
łowa publiczność nie zareaguje na nią w sposób
destrukcyjny. W Stodole właściwie każdy
mógł podejść i sobie coś namalować, poza tym
biegały tam dzieciaki i też malowały. Pod ko-
niec imprezy zaczęło być niebezpiecznie: ob-
raz był wielki, wysoki, malowaliśmy na stołach
barowych pokrytych śliskim plastikiem. Farba
się gęsto lała, wszyscy byli nią ubrudzeni. Ci,
którzy chcieli malować wysoko, musieli wcho-
dzić na te śliskie stoły. Nagle wszystko zaczę-
ło się przewracać – demolka totalna, która
też jest charakterystyczną cechą działania
Praffdaty. Niby pierwsze wystąpienie firmowałem
ja, bo dałem pomysł, ale później wszyscy równo
brali w tym udział i efekt był zależny od zespołu.

Czy od tego wieczoru wasza relacja jakoś się zmieniła?

Tak, my się po prostu zaprzyjaźniliśmy.
Po imprezce wszyscy bardzo cieszyliśmy się
z naszego sukcesu, więc postanowiliśmy współ-
pracować. Nie był to konkretny moment, wszyscy
poczułi po prostu szansę na ciekawe doświadcze-
nia.

Jak myślisz, co sprawiło, że Praffdata zadziałała jako zespół?

Łączyła nas miłość do wolności – albo
któryś za nią tęsknił, albo czuł, że to jest jedyny
sensowny sposób działania. Jak wszystko dookoła
jest bez sensu, to co można robić? Coś równie
bezsensownego, ale przy czym można się bawić.
Nasze działanie zawsze wiązało się z balangą –
nie wiedzieliśmy gdzie kończy się impreza, a gdzie
zaczyna performans. Koncert bardzo często był
zwieńczeniem wielkiej zabawy, która miała miejsce
chwilę przed. Podczas przygotowań na przy-
kład wypijaliśmy butelkę spirytusu z coca-colą,
naspawaliśmy się trawą i dopiero wychodziliśmy
na scenę.

Czy poza występami też spędzaliście ze sobą czas?

Tak, były takie momenty kiedy po prostu
razem żyliśmy. Jak nie było koncertów, to się spo-
tykaliśmy i robiliśmy imprezy wewnętrzne. Szliśmy
na przykład na spacer do lasu. Wydzwięk artystycz-
ny takiego wydarzenia nie był wcale mniejszy, niż
wydarzeń oficjalnie nazwa-
nych artystycznymi – różnica
polegała tylko na obecności
publiki lub jej braku.

**Czasem miało to wszystko
jakąś ideę przewodnią,
albo temat, który miał być
podstawą, ale to się nigdy nie
trzymało kupy i w trakcie
realizacji nabierało zupełnie
innego wymiaru, zaczynało
dążyć w zupełnie inną stronę.**



Koncert w SOS-ie, Warszawa, 1986

Co było po koncercie w Stodole?

Po debiucie w Stodole graliśmy koncert
w SOS-ie. Dyrektorem szkoły był wtedy Jac Jaku-
bowski – psycholog, który miał bardzo pozytyw-
ne podejście do młodych gniewnych. Wierzył, że
z tych wariatów mogą wyjść ciekawi ludzie i robił
wszystko, żeby ułatwić im odnalezienie się. Orga-
nizował mnóstwo zajęć dodatkowych, warsztaty,
koła zainteresowań. Jacowi chodziło o to, żeby ci
nieprzystosowani do życia w społeczeństwie ludzie
zdali maturę. Jego strategia była prosta: dawał im
lewą i prawą rękę wolną, a w zamian za to prosił,
żeby podeszli do egzaminu. To działało. Dzięki
takiemu podejściu wszyscy uczniowie i nauczy-
ciele byli jedną załogą, a ludzie dawali sobie radę
z opresyjną rzeczywistością. Myślę, że to właśnie
te dogodne warunki były bezpośrednim powodem
powstania Praffdaty, która wtedy była grupą jedno-
czącą uczniów i nauczycieli:
Duduś był nauczycielem,
Sylwian, Guła i Jakubek byli
uczniami.

Jak wyglądał ten koncert?

Ten koncert miał być bardziej spektakularny, bo mieliśmy więcej czasu – cały miesiąc na obmyślenie koncepcji i kilka dni na przygotowanie. Szkoła udostępniła nam salę gimnastyczną. Na- znosiliśmy ze śmietników mnóstwo złomu: blach od prałek, bębnow, dziwnych mebli. Na środku sceny były zasieki ze sznurków, takie jak te wo- jenne z drutów kolczastych. Za tym zbudowaliśmy wielką ścianę z tektury z małymi, wyrwanymi ręcznie otworami. Na końcu, przy ścianie, była właściwa scena – porozkładaliśmy tam pralki i inne meble. Stworzyliśmy rodzaj podium, które wyglądało jak wielka ambona. Jeden z ówczesnych członków ze- społu, Michał Mizera, zajmował miejsce w ambonie – głowę miał prawie pod sufitem. Wyszło tak, że połowę sali gimnastycznej zajmowała scena, a dru- gą połowę widownia.

Zbudowaliście to sami?

Tak. Z drewna, desek, odpadów. Duduś, Sylwian, Jakubek zawsze zajmowali się majsterko- waniem, dla nich to nie był problem. Słowem, była to bardzo bogata scenografia. Publiczność siadała na



Traktor vs. Reaktor, Gdańsk, 1987

Praffdata była zbiorem ludzi nieprzystosowanych do życia w społeczeństwie, nie mieszczących się w żadnych formach, nie nadających się do zwykłych szkół.

gimnastycznych materacach. Nie rozkładaliśmy krzeseł, bo baliśmy się, że nie przetrwają. Koncert zaczynał się z zamkniętymi drzwiami – nikogo nie wpuszczaliśmy, póki każdy członek zespołu nie był na swoim miejscu. My, z Faustynem, byliśmy na froncie, przed sznurkami. Kiedy kapela zaczęła grać, otworzyliśmy drzwi, wpuszczaliśmy publiczność i rozpoczęliśmy swoją akcję przedzierania się przez zasieki. Jak już udało nam się je zdemon- tować, płacząc się w nich, rozplątując je i zrywa- jąc, przedarliśmy się do ściany i powiększaliśmy małe dziury. Wtedy co poniektórzy zaczęli się przyłączać. Zawsze byliśmy za tym, żeby się ludzie się do nas przyłączali, chociaż nigdy ich do tego nie zachęcaliśmy. Chcieliśmy, żeby sami poczuli potrzebę robienia tego, co my. No i w taki sposób legła w gruzach tekturowa ściana, ukazała się sce- na – chaos. Michał zaczął śpiewać z ambony teksty z Biblii na przemian z czerwoną książeczką Mao Tse Tung. Muzyka zaczęła nabrzmiewać, rozkrę- cać się, było bardzo głośno i spektakularnie.

Druty kolczaste, poszerzanie otworów w murze – to dość wymowna aranżacja. Możesz opowiedzieć o stronie politycznej działalności Praffdaty?

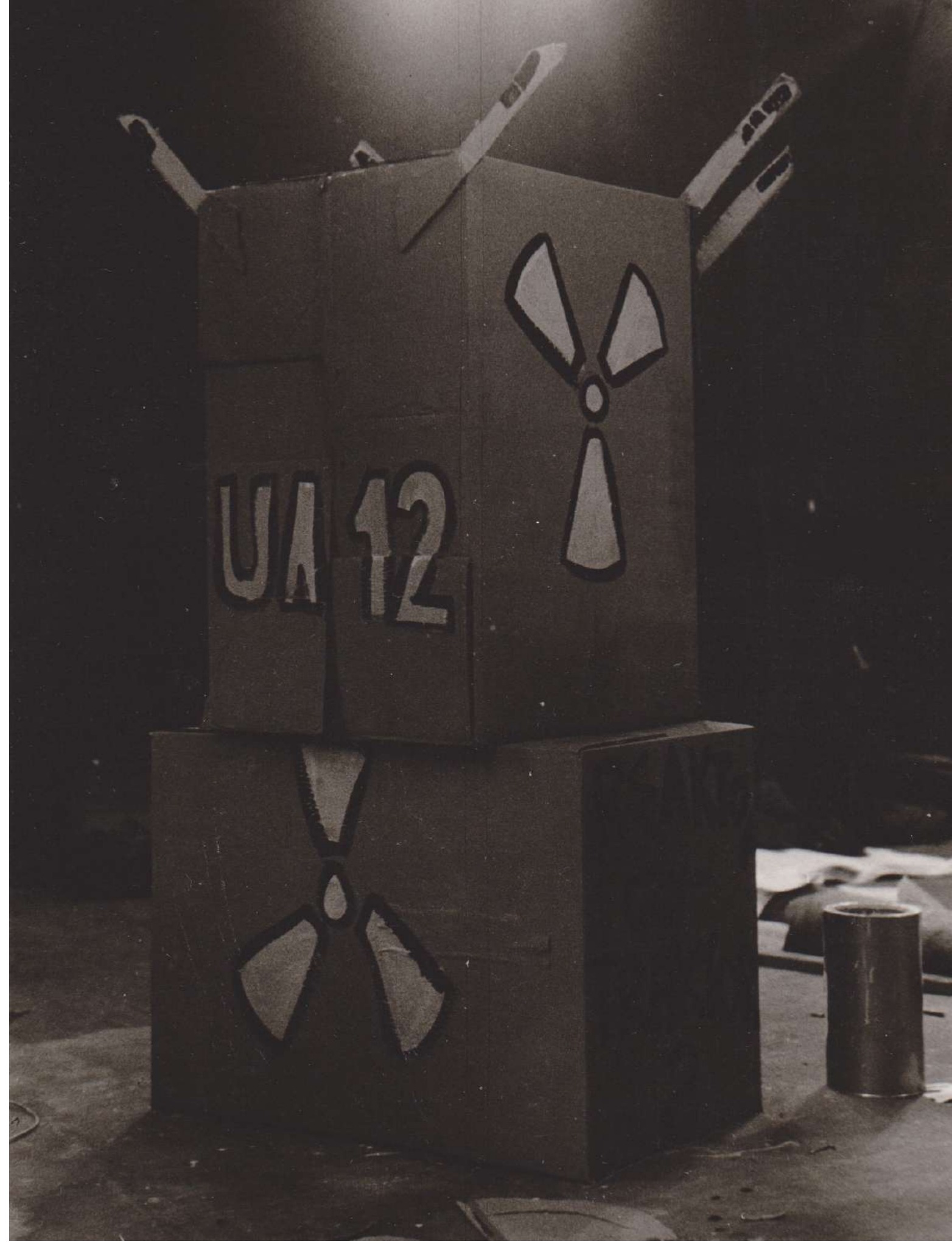
Tu mogę w takim razie wrócić do tego, jak kto widzi Praffdatę. Mnie nigdy nie interesowała jej wymowa polityczna, natomiast chłopaków tak, choć w różnym stopniu. Mnie interesowało samo zdarzenie plastyczne. Jeśli któryś z nich chciał nadać naszemu działaniu konkretny sens, nie oponowaliśmy. Dobrym tego przykładem było wydarzenie Traktor vs. Reaktor. Przeciwno budowie elektrowni atomowej w Gdańsku. Nie byłem pewien czy jestem za, czy przeciwko jej powstaniu, ale że chłopaki byli zdecydowani, to i ja postanowiłem dołączyć. Dlatego właśnie mogliśmy koegzystować – bo dopóki któremuś z nas nie przeszkadzało coś naprawdę mocno, dopóty mogliśmy iść dalej w naszych działaniach.

Traktor vs. Reaktor?

To było prawdziwe starcie! Zainspirowani pomysłem budowy elektrowni atomowej, wymyśliliśmy coś bardzo surrealistycznego. Myślę, że jeśli pozbawilibyśmy naszego działania owego kontekstu, wyszedłby nam surrealistyczny teatrzyk o charakterze współczesności i przyszłości. O bezsensie, jakimi się stają, kiedy wyabstrahuje się je z rzeczywistości. Koncert odbywał w Gdańsku w 1987 roku, na wiosnę.

**Łączyło nas poczucie irracjonalności świata,
w którym ludzie ciągle załatwiają jakieś bezsensowne
sprawy, robią rzeczy bez celu. W trzewiach działania
Pracownicy znajdowała się chęć ukazania absurdu świata.
Czuliśmy się w nim jak wariaci.**

Koncert w SOS-ie, Warszawa, 1986





Koncert w SOS-ie, Warszawa, 1986

Wydaje mi się, że chłopaki z Totartu nas zaprosili. Zbudowaliśmy z pudeł wielką ścianę, która później została przez nas zlikwidowana – oczywiście z podkładem muzycznym. Chłopaki zawsze mieli to ograniczenie w postaci swoich instrumentów, a my – malarze – byliśmy zupełnymi wariatami wygłupiającymi się na scenie. Gdy zrównaliśmy ścianę z ziemią, pojawił się Traktor i Reaktor. Czyli Faustyn i ja. Mieliśmy stoczyć walkę na śmierć i życie, by rozstrzygnąć, które rozwiązanie zwycięży. Reaktor reprezentował oczywiście chęć budowy elektrowni, a traktor – pogląd przeciwny.

Mieliście jakieś stroje?

Tak, z tektury i pudełek. Domalowaliśmy Faustynowi koła, a mi coś, co miało przypominać gwiazdę radioaktywną. Mój strój nie miał niestety otworów na ręce, wystawały tylko głowa i nogi – było to jego główną wadą, która

Chłopaki zawsze mieli to ograniczenie w postaci swoich instrumentów, a my – malarze – byliśmy zupełnymi wariatami wygłupiającymi się na scenie.

zadecydowała o mojej sromotnej przegranej. Faustyn przewrócił mnie i zostałem uziemiony, bo nie mogłem się w żaden sposób podnieść.

Kiedy Praffdata poznała Totart?

W pewnym sensie również z mojej przyczyny. Zostałem zaproszony przez Ryszarda Ziarkiewicza na festiwal Ekspresja Lat Osiemdziesiątych w BWA Sopot w lecie 1986 roku. Ziarkiewicz starał się zrobić wspólną wystawę ludzi tworzących w tamtych czasach. Zaprosił mnie imiennie, a ja poprosiłem pozostałych członków Praffdaty, żeby do mnie dołączyli – zgodzili się z entuzjazmem, ponieważ zagwarantowano nam hotel, wikt, opiekę i wynagrodzenie, co było rzadkością. Nasze wspólne obrazy z Faustynem zawisły na oficjalnej wystawie, której towarzyszyły różne wydarzenia artystyczne, między innymi nasz performance naprzeciwko sopockiego mola. Wtedy właśnie pierwszy raz skonfrontowaliśmy się z chłopakami z Totartu. Przyszli z bębniem marszowym – takim, co się trzyma na brzuchu, z zamiarem ośmieszenia naszego działania. Ich ideą było wchodzenie swoimi działaniami w „ukonstytuowane” działania artystyczne. Nie przewidzieli tylko tego, że my mamy w gruncie rzeczy takie samo podejście do sztuki. Jako Praffdata bardzo się ucieszyliśmy, że ktoś wchodzi z nami w interakcję. To był piękny koncert, malowaliśmy na tyłach galerii postawionej wysoko na brzegu. Niżej były kaskady schodów, na których stał zespół, a pod tym plac, sopockie molo i morze. Nasze dzieło zatytułowaliśmy *Obraz poświęcony morzu*.

Działaliście jeszcze razem?

Tego wieczoru niestety nie. Po chwili pojawiła się milicja, wezwana przez kogoś, kto pewnie stwierdził, że nasz performance to zamieszanie, które może przerodzić się w większą rozróbę. Przekraczaliśmy powszechne pojęcie o sztuce, nasze działania naruszały obowiązujące w tamtych czasach normy. Nie było tak, że widz usiadzie, posłucha, poklaszcze i pójdzie. Ludzie nie wiedzieli jak reagować na naszą muzykę. Na szczęście Ziarkiewicz jakoś nas wytłumaczył i uniknęliśmy zatrzymania.

Jakie jeszcze akcje organizowaliście?

Najczęściej było tak, że Jarek organizował koncerty w klubach czy barach studenckich. Ale było też kilka imprez zupełnie niezwykłych.

Raz na przykład dostaliśmy cynk, że miasto Łódź potrzebuje kogoś, kto zorganizuje im 1. czerwca – dzień dziecka. Nie wiem jak to się stało, ale Jarkowi udało się nas w to wkręcić.

Mówisz o HollyŁodzi?

Tak, to miała być impreza dla dzieciaków, której celem była dobra zabawa. Wpadliśmy na pomysł żeby zrobić dla nich tekturowe miasto. Wszystko to robiliśmy razem – każdy miał jakiś pomysł. Jeden wpadł na to, żeby połączyć obecny w Łodzi motyw kina, związany ze słynną już wtedy szkołą filmową, z dziecięcym świętem – tak powstał tytuł – HollyŁódź. Hasło „kino” stanowiło motyw przewodni: był ekran, na tle którego, każdy mógł wystąpić, do tego kamera z tektury. Cała zabawa miała być nieskrępowana i nieograniczona. Mogły brać dużo farby, rzucać, malować, biegać i krzyczeć. Cała akcja dość szybko wymknęła się spod kontroli – jak dzieci się zorientowały, że mogą demolować, to raz dwa rozniosły całe przedsięwzięcie.

Ale przynajmniej dobrze się pewnie bawiły?

No, nikt nas na szczęście nie podał do sądu, nikomu się nic nie stało i wszyscy byli zadowoleni.

W Łodzi mieliście jeszcze jedno wystąpienie – na Festiwalu sztuki Niezależnej.

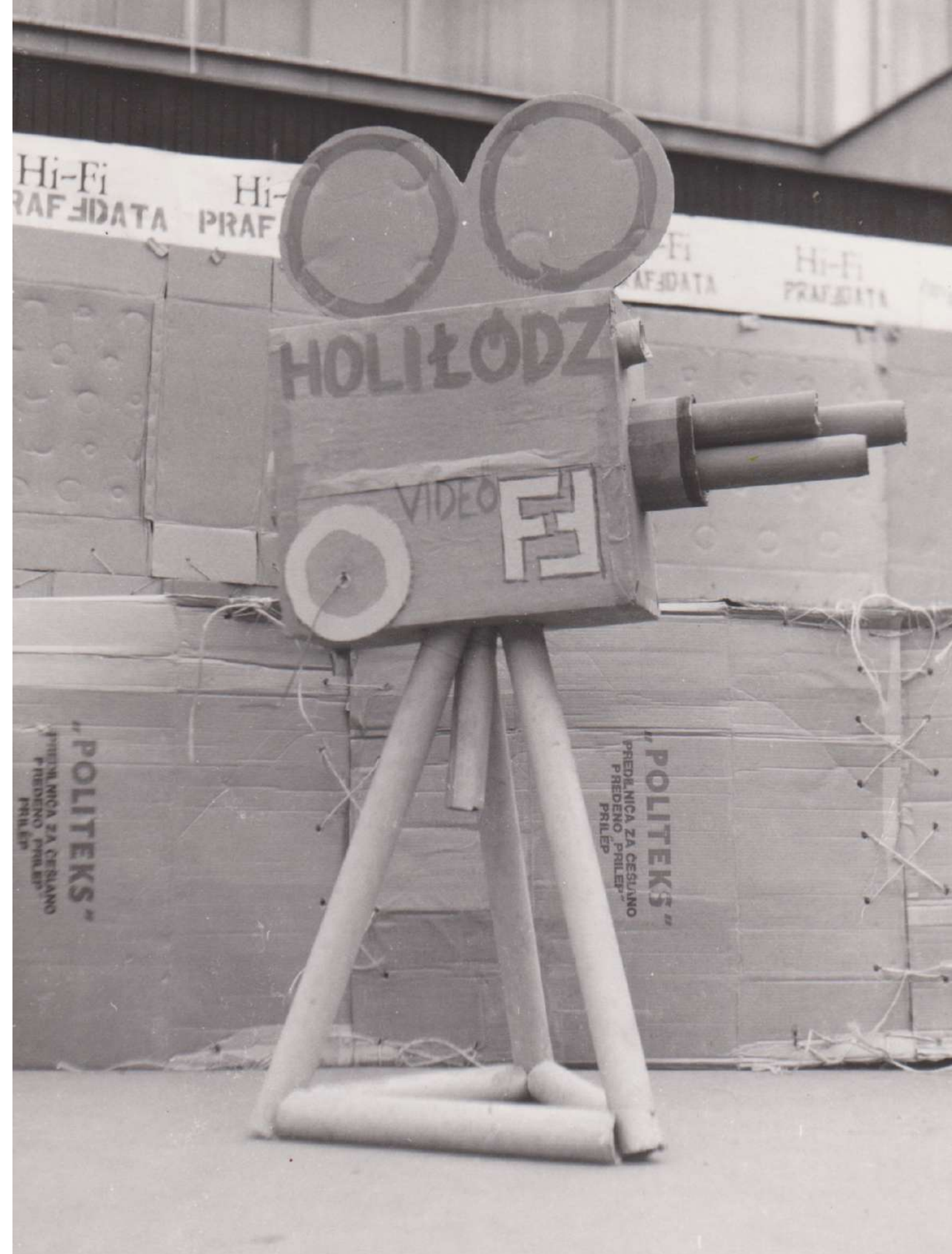
Tak, ale to było coś zupełnie innego. Zamyślem organizatorów było zaaranżowanie przestrzeni, w której artyści będą mieli jedno wspólne pole do dyskusji. Dostaliśmy czysty, biały pokój, wielkości czterech metrów kwadratowych. W środku wybudowaliśmy rusztowanie, z którego mogliśmy obmalować całe pomieszczenie. Chodziło o magiczne, kontrowersyjnie zestawione ze sobą treści – prymitywne, szamańskie. Chłopaki z zespołu chodzili po innych pokojach i dyskutowali z ludźmi na tematy artystyczne. Mnie i Faustynowi też się udało na kilka załapać, ale nie pamiętam żadnych konkretnych – na pewno były to rozmowy bardzo filozoficzne.

Wiem, że udało wam się dotrzeć również na południe Polski. Opowiesz o koncertach na Śląsku? Górniczy, Hutnicy w Katowicach i Gliwicach?

Te dwa wydarzenia zlewają mi się w jedno. Wiem, że w oba akcentowały trud górniczy. Koncerty były w nastroju punkowe, a my ograniczyliśmy paletę do czerni – koloru węgla, naszego polskiego dobra narodowego.

Zawsze byliśmy za tym, żeby się ludzie się do nas przyłączali, chociaż nigdy ich do tego nie zachęcaliśmy. Chcieliśmy, żeby sami poczuli potrzebę robienia tego, co my.

HollyŁódź, Łódź, 1987



Więc to było tak, że jak pojawiało się granie, to dopasowaliśmy tematykę obrazów do miejsca?

Nie, to był tylko pretekst – węgiel, urobek, ciężka górnicza praca – myśmy też chcieli z adekwatnym trudem wykonać koncert. W tamtych czasach działało o wiele więcej kopalń – Śląsk był zagłębiem przemysłowym. Władza podkreślała trud życia robotników, a na Śląsku – trud życia górników i hutników. Robiliśmy, chociaż jest to bardzo nieodpowiednie słowo, wariacje na temat górniczego trudu.

Czy przed takim wydarzeniem dyskutowaliście, jaką formę przybierze performance?

Nie, nigdy nie planowaliśmy jak to będzie wyglądać. Najczęściej improwizowaliśmy. Przyjeżdżaliśmy na miejsce dzień wcześniej, zbieraliśmy materiały. Czasami część była na miejscu – na przykład na Śląsku zastaliśmy ścianę z bristolu.



Hollylódź, Łódź, 1987

Dlatego właśnie mogliśmy koegzystować – bo dopóki któremuś z nas nie przeszkadzało coś naprawdę mocno, dopóty mogliśmy iść dalej w naszych działaniach.

Stanowiła ona kurtynę, za którą stała ukryta kapela. Podczas koncertu namokła grubo nakładaną farbą, zaczęła się rozwalać i odsłaniać zespół. Niestety mało z tego pamiętam.

Tematyka za każdym razem była inna?

Wiesz, te tematy były tylko pretekstem. Dowodem, że można wyrazić swoją ekspresję. Każdy z nas miał swoje przemyślenia i poglądy. Łączyło nas poczucie irracjonalności świata, w którym ludzie ciągle załatwiają jakieś bezsensowne sprawy, robią rzeczy bez celu. W trzewiach działania Praffdata znajdowała się chęć ukazania absurdu świata. Czuliśmy się w nim jak wariaci.

Jak to się dalej rozwinęło? W pewnym momencie odłączyłeś się od grupy.

Praffdata z Faustynem działali do połowy lat 90. Ja się szybko wykruszyłem, chyba w 1989 roku. To była bardzo złożona sytuacja, trudno mi ją przedstawić jednocześnie zwięźle i prawdziwie. Przede wszystkim Praffdata nie była wtedy moją jedyną działalnością. Malowaliśmy z Faustynem dużo ze Zgodą, czyli zespołem Gutka – perkusisty, Kasi – czyli obecnej Kayah, Piotrka Nalepy na gitarze, Skoczka, a później Biedrony (możesz go znać z Pudelsów) na klawiszach, Milo Kurtisa na przeszkadzajkach, który był także kierownikiem zespołu. A, jeszcze na basie grali trochę Kciuk, trochę Szpeniaga. To był zespół należący do stajni Hybryd, klubu Warszawskiego: oni prowadzili też Tilt, T Love, Izrael, formacje Brylewskiego: Brygadę Kryzys, Armię. Ci sami ludzie, tylko w innych konfiguracjach. Jednak ja wtedy byłem już na granicy szaleństwa. Wiedziałem, że albo się szybko w tym wszystkim odnajdę, albo muszę się liczyć z wiecznym zgubieniem. Stwierdziłem, że sztuka mnie rozprasza, sprawia że odlatuję. Poczucie wariactwa wzmagало się coraz bardziej, więc odciąłem się od tego świata. Ludzie za dużo ode mnie chcieli i sztuka tak samo. Miałem też poczucie, że z chłopakami nie ciągniemy tego wszystkiego razem, że my z Faustynem tworzymy trzon, a reszta przycho-

dzi na gotowe, na imprezkę. My chcieliśmy robić większe rzeczy, bardziej rozbudowane, a im to wisiło – tak było właściwie od początku. To wszystko sprawiło, że poczułem się oddalony od reszty. Ważne było również to, że ludzie przychodzący na nasze koncerty, nie dawali mi do zrozumienia, co dla nich znaczą moje sztuki: czy to, co widzą jest dla nich wartościowe, czy nie. Na początku nie było to dla mnie takie ważne, ale z biegiem czasu takie myśli zaczęły się pojawiać. Wracając do sedna sprawy: nie widziałem już sensu. Wszystkie te odczucia skotłowały się we mnie tak silnie, że poczułem potrzebę skończenia tych znajomości.

Co na to reszta?

Nasz zespół miał wolny charakter. Guła mówił: w przyszłym tygodniu jest granie w Krakowie. Kto jedzie? Jak jedziemy? A ja po prostu powiedziałem, że nie jadę. I już. Oni pojechali. ●